Lwów 30. Października №129. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

XI.

W Radomiu.

Wróćmy teraz po ostatni już raz do Powiatówki, gdzie nasza Anusia spokojniejsza wprawdzie, ale zawszet smutna marzyła tylko o swoim Jasiu. Ze Złotkowską najchętniej marzyła, bo ta jedna słuchała ją cierpliwie gdy powtarzała codzień jedno i to samo o swej nieograniczonej miłości do Jasia. Złotkowska przy takich rozmowach przypominała sobie przeszłość swoją niepowrotną, i te wszystkie młodzieńcze uczucia, któremi i ona kiedyś żyła pełna marzeń i nadziei. I obie wzdychały; stara panna za młodością, a młoda dziewica za kochankiem, który tam gdzieś daleko od niej żałośne zapewne ku niej wysyła westchnienia.

A do tego najmilszym dla Złotkosi przedmiotem rozmowy były sny i tłumaczenie onych, w czem była mistrzynią niepospolitą. A komuż się dziwniejsze marzą sny, jeżeli nie zakochanym dziewczętom.

Biedna Anusia odebrała list od Jasia, w którym jak wiemy doniósł jej, że w daleką wyjeżdża podróż, nie spodziewała się go zatem prędko, mimo szczególnych przeczuć które nieraz zadrzały radośnie w jej łonie, mimo szczególnie pocieszających snów, mimo rozmaitych prognostyków z psów, kotów i sroki czerpanych, mimo nareszcie kabały w której panna Złotkowska była arcymistrzynią, i w której koło damy karowej ciagle prawie adjutantowali król i as karowy.... kochanek i wiadomość wesoła.

Ciotka nadto była szczęśliwa z bytności szczerze ukochanej siostrzenicy, aby jakiekolwiek chciała jej robić wymówki za zniszczenie jej ulubionego planu.

— Trzeba się zgodzić z wolą nieba, powtarzała sobie codzień. Z początku próbowała ją surowemi namawiać słowami, ale przy pierwszych łzach co zabłysły w błękitnych Anusi oczach, zmiękła staruszka.

— Nie płacz dziecię moje! mówiła do niej, głaszcząc po pięknej twarzyczce. Ja nie myślę ciebie przymuszać jak twoja matka.... Żeby ten Drzwiowski był szlachcicem przynajmniej!... dodawała z westchnieniem.

— On jest szlachcicem! odpowiadała siostrzenica. Dosyć popatrzyć na jego szlachetną postawę.

— Co ty rozumiesz! w naszym rodzie trzech mamy królów.

— On ma cjociu kochaua spojrzenie królewskie!...

— Szalone dziecko! odrzekła stara ciotka z uśmiechem łagodnym.

Najnudniejsze życie pędził Maxym, którego próżnowanie wiejskie jeżeli nie tyle psuło, co próżnowanie miejskie, ale też i nie wiele poprawiało. Żałował wprawdzie brzydkiego czynu swego, ale więcej może przez strach by się o tem nie dowiedziała ciotka. Strach ten o tyle zbawiennie działał na niego, że święcie sam przed sobą postanowił, nigdy więcej w podobne nie wchodzić działania. Najwięcej gryzła go myśl o przyszłości. Przekonany o tem, że nigdy nic nie będzie ze związku z kuzynką, przez ciotkę zamierzonego, przewidywał że Powiatówka stanie się własnością Anusi. Trzydzieści tysięcy jemu przeznaczonych dawno się rozeszły, co więc dalej robić wypadnie, co począć z sobą? Z myśli w myśl przechodząc, przypomniał sobie Jasia Drzwiowskiego, którego znał i wiedział o znacznym jego majątku, i pomału powstało w nim życzenie, żeby Anusia została jego żoną. Wszakże poszedłszy tak majętnie za mąż, i jemu może pomódz?...

W takich tedy myślach i okolicznościach nadszedł wielki piątek. Panna Weronika z całą rodziną wybrała się po obiedzie, do Radomia, aby odwidzieć boży grób w w tamtejszym kościele, i pomodlić się w dniu tak uroczystym. Wilją dnia tego przyjechał właśnie pan Jan, i już się dowiedział o przyjeździe Anusi do Powiatówki. Łatwo pojąć jaką serdeczną radością zadrzało serce zakochanego młodzieńca, całą noc nie spał, nadtem tylko bowiem przemyśliwał, jakby się zbliżyć do drogiej i tak dawno niewidzianej kochanki. Chciałby najprzód pomówić z nią sam na sam, aby się dowiedzieć od niej jak stoją teraz rzeczy w zdaniach obydwóch sióstr Wolskich, i dopiero później przedstawić się pannie Weronice, o której wiedział że nie bardzo mu sprzyja. Niepokoiła też go bytność pana Maxyma, o którego miał posądzenie, że jest mu na wszelkie

sposoby przeciwny, i że nawet doniesienia jemu szkodliwe, jakie ojciec odbierał, pochodziły od kuzynka Anusi.

Wstawszy z rana nic jeszcze nie wymyślił, prócz tego chyba że miał nadzieję, iż w taki dzień świąteczny towarzystwo z Powiatówki przyjedzie do kościoła Cały więc dzień przepędził na tem, że biegał od stancyi do kościoła.

Przenieśmy się zatem do tego kościoła, który po obiedzie coraz się więcej zapełniał, czekając na księdza Polikarpa, sławnego Radomskiego kaznodzieję, mającego tego dnia mieć kazanie o passyi zbawiciela. Pan Maxym który wyprzedził ciotkę, oparty o chrzcielnicę stał zadumany, myśląc jak zazwyczaj o teraźniejszości i o niepewnej przyszłości. Pan Jan schowany dotąd w tłumie, gdy postrzegł go, zbliżył się doń, i z lekka uderzył go po ramieniu.

Pan Maxym zdziwił się niepomału, poznawszy pana Jana, o którym wiedział od kuzynki, że gdzieś w dalekie odjechał strony. Uczucia jego jak wiemy były mocno zmienione, z szczerą więc radością porwał go za rękę, i uścisnąwszy je zawołał:

— Jak się masz Jasiu! myślałem właśnie o tobie, ale się niespodziewałem widzieć ciebie. —

Nie było to wówczas w zwyczaju długo rozmawiać w świętem miejscu, poprzestali więc na krótkiem przywitaniu.

— Patrzaj! rzekł znowu Maxio, i okiem wskazał wchodzącą ciotkę z Anusią i z nieodstępną Złotkowską. Serce naszego bohatyra zadrzało na widok tej znanej twarzyczki, której wyraz tęsknoty nowych dodawał wdzięków.

Pan Jan posunął zdala za wchodzącemi, i stanął o kilka kroków od ławki, którą zasiedli nowo przybyli, i wpatrywał się w ukochaną twarz z wyrazem tak silnym, że aż zadrzała Anusia, jakby dotknięta owym prądem elektrycznym, który tajemniczym jakimś węzłem łączy i pociąga kochanków do siebie. Mimowolnie podniosła oczy schylone nad książką od nabożeństwa, i obejrzała się i zarumieniła się najciemniejszym ponsem. Ona postrzegła Jasia. Po tak długim czasie spojrzeli sobie znowu oko w oko. Krótkie to było i przelotne spójrzenie, ledwie chwilę jedną trwało, a przecież wystarczyło im by się przywitać najczulej i wypowiedzieć wszystko co im obojgu w sercach drzało.

Anusia spuściła oczy nazad na książkę, ale myśl jej pozostała przy romansowym kochanku. W takiem usposobieniu nie wiele myśleć mogli o modlitwie, nie wiele o poważnem dnia tego nabożeństwie. Źle to było, ale któż by nie przebaczył kochankom, którzy się tyle miesięcy niewidzieli. Piękne było, długie i wymowne kazanie księdza Polikarpa, ale dla nich przepadło zupełnie. Nic nie słyszeli prócz głosu bez znaczenia, nic o niem nie wiedzieli prócz tego że było długie. I może by nawet niechcieli je krócić, bo tak im było błogo w tem słodkiem marzeniu, któremu czy sprosta rzeczywistość, któreż z nich odgadnąć zdoła.

Skończyło się wreszcie kazanie. Tłumy ludu zaczęły wychodzić z kościoła, i panna Weronika posuwała się ku drzwiom, lecz nie mogła tak prędko wyjść, bo jak to było jej zwyczajem, musiała się przywitać ze wszystkiemi sąsiadkami, czującemi tę samą potrzebę, i rozmówić się z niemi w pół głosem o tych wszystkich arcyważnych drobnostkach, nabierających nie mało znaczenia przy wielkim tygodniu i przedwielkanocnych przygotowaniach do święconego.

Kochankowie jeden tylko wzrok rzucili na siebie i już się zrozumieli. Niepostrzeżeni jak się im przynajmniej zdawało, usunęli się na bok, i wnet zdybali się sam na sam prawie przy dzwonnicy. Nie możemy wszakże zaręczyć, że ich panna Weronika nie postrzegła, to pewna że na twarzy starej panny zakwitł uśmiech jakiś dwuznaczny, i dłużej niż zwykle a troskliwiej rozprawiała z sąsiadkami o babach, plackach i mazurkach. Szczęśliwi kochankowie nie wiedzieli wszakże czy dłużej lub króciej rozmawiali, bo te chwile przeszły dla nich w uniesieniu temu tylko zrozumiałem, który niezapomniał jeszcze, że kiedyś był młodym i że kochał kiedyś. Ani też myślemy przytaczać tej rozmowy, której najgorętsze nie oddadzą słowa bez towarzyszących im spojrzeń, jakie strzelały z oczów młodych.

Ciotka tymczasem postępowała ciągle rozmawiając z paniami, aż niby nagle obejrzawszy się, postrzegła czułą parę.... Złotkowska i Maxio przestraszyli się przewidując burzę, lecz jakież było ich zadziwienie, gdy z słodkim uśmiechem przemówiła do osłupiałego Drzwiowskiego:

— A witajże pan! witajże panie Drzwiowski z długiej podróży.

Drzwiowski tak zapomniał języka w gębie, że ledwie zdołał wybełkotać kilka słów przywitalnych.

Ciotka zaś coraz grzeczniejszemi witała go słowami, i po krótkiej rozmowie zaprosiła naszego bohatyra do Powiatówki, zdobyła się nawet na żart, który nie był w jej zwyczaju.

— Teraz już nie będę się bała wracać wieczorem, mając z sobą dwóch kawalerów. No siadajmy moi panowie.

Na szczęście dwa było powozy; zmieścili się więc wszyscy. Kochankowie byli w siódmem niebie. Maxio zaś łamał sobie głowę nad tak nagłą zmianą usposobienia ciotki, i kochankowie nie wiedzieli czemu to przypisać; przyjmowali tę zmianę z radością, nie starając się nawet jej odgadnąć.

Cała tajemnica wkrótce się odkryła. Ledwie bowiem przyjechali do Powiatówki, panna Weronika po powtórnem przywitaniu z nowym gościem, rozpoczęła z nim rozmowę, która pokazała, że babina swój własny interes miała na myśli.

— Pan Drzwiowski był podobno na Litwie? zaczęła; jak wyczytałam z gazety Warszawskiej?...

— Byłem u ojca mego! odpowiedział.

— To gdzieś niedaleko Nieświeża, jak mi mówił ksiądz Polikarp.

— Nie zbyt daleko!....

— Słyszałam od księdza Polikarpa, który ma krewnych na Litwie, że szanowny ojciec waćpana dobrodzieja, który jest zamożnym tam obywatelem, żyje w bardzo dobrej komitywie z księciem wojewodą Wileńskim.

— Mój ojciec bywa w Nieświeżu, i zaszczyca się łaską księcia Radziwiłła, którego nawet dawniej utrzymował prawne interesa.

— Bo to uważasz waćpan dobrodziej, powiadają że książe Radziwiłł jest po prostu bankrut....

— Pierwszy raz słyszę o tem... taki wielki pan!...

— Trafia się to mój panie!.. trafia!.. Ja tedy mam u niego trzydzieści tysięcy; a chociaż suma moja oblatowana, przecież nie radabym się prawować w takiem oddaleniu z takim panem, bo na końcu koszta wyniosłyby tyle co sama kwota... Owoż tedy, wyznam waćpanu dobrodziejowi....

Sens moralny tej przemowy był, że żądała od pana Jana, aby ojca spowodował do zajęcia się tym interesem.

— Taki słynny obywatel, jak godny ojciec waćpana dobrodzieja może mnie bardzo pomódz jeżeli zechce u księcia pana...

— Mój ojciec nie odmówi i pewien jestem, że pani dobrodzijka, odbierzesz niezawodnie swoje pieniądze.

— Oddaję więc ten interes protekcyi pana dobrodzieja, zakończyła panna Weronika z słodziutkim uśmiechem; i proszę, pisz jeszcze dzisiaj do papy dobrodzieja, gdyż ja się bardzo jakoś lękam o moje pieniądze.

Drzwiowski uszczęśliwiony wrócił do miasteczka i zasiadł zaraz do listu żądanego. W tem otworzyły się drzwi, i wszedł pan Maxym z miną dosyć naciągniętą i pomieszaną. Zasłyszawszy rozmowę Jana z ciotką, zrozumiał, że nie ma co żartować dłużej, lada chwila bowiem musi się odkryć fałsz popełniony z sumą panny Weroniki.... Nie było czasu do stracenia; trzeba się było na szczero rozmówić z Janem, zanim napisze list do ojca.

— Kochany Janie! zaczął, przychodzę do ciebie z zapytaniem i prośbą...

— Słucham cię Maxiu!

— Czy kochasz zawsze Anusię?

— Czy ja kocham, pytasz? chcesz że może stanąć mi w drodze? zawołał groźniej, i zawrzała w nim polska krew burzliwa.

— Nie o to rzecz idzie mój Jasiu!... ja sobie zupełnie wyperswadowałem i Anusię i nawet Powiatówkę. Owszem życzę ci szczęścia i raduję się niem, a nawet wszelkiemi siłami chcę się przyłożyć do waszego połączenia. Ja teraz przychodzę w imię Anusi prosić ciebie o jedną łaskę... dodał rumieniąc się ze wstydu...

— O łaskę?.. w imię Anusi?... Co mogę to zrobię i to dla ciebie samego mój Maxiu.

Nie bez trudności wyspowiadał się biedny młodzieniec z popełnionego czynu. Łzy miał w oczach, łzy wstydu i skruchy, gdy opowiadał całe to brudne postępowanie; a żadnego nie opuścił szczegółu, jakby się sam tym sposobem chciał skarać. Jan przyjął wyznanie z szczerem uczuciem, uścisnął Maxia i rzekł do niego z prawdziwem wzruszeniem.

— Myśmy już bracia Maxiu!.. i po bratersku dzielić się będziemy. Spuść się zupełnie na mnie; już ja tą sprawą zakieruję w ten sposób, że się ani ciotka ani nikt nie dowie o tem, a przekonany jestem że to nie tyle od ciebie pochodziło, jak raczej od Sztroma.

— I od niego to zapewne pochodziły owe listy bezimienne, które odbierał mój ojciec a mie...

Maxio zarumienił się, lecz nie śmiał odpowiedzieć, bo sumienie jego w tej mierze nie było zupełnie wolne.

Jan prawdziwie szlachetny zrozumiał to, lecz mu nawet ani do słowa przyjść nie dał.

— Nie tłumacz się nawet Maxiu! bo ja od razu przekonany byłem. że to Sztromowa sztuczka.

Uścisnęli się czule z całego serca. Sojusz zaczepny i odporny ułożyli między sobą, rozchodząc się z przyjaźnią na ustach, z przyjaźnią w sercu...

XII.

Zakończenie.

Od tego czasu wesołe rozpoczęło się życie w Powiatówce. Wesołe dla wszystkich, bo cieszyły się i obie stare panny, jedna dobrą nadzieją sprawy pieniężnej swojej; obie przywiązaniem do Anusi swojem, a cieszył się i Maxio, któremu ciężar niepospolity spadł z serca. Lecz najwięcej cieszyli się kochankowie, którzy po całych dniach prawie z sobą rozmawiali, słowem i wzrokiem, myślą i marzeniem. Szczęśliwi, których miłość wiośniana przypadała właśnie na wiosnę życia, na wiosnę przyrody. Pierwsze marzenia pełne cudnego uroku, to prawdziwe rozbudzenie się przyrody, z pierwszą swą zielonością, z pierwszą wonią i z pierwszemi pączkami przyszłych kwiatów, temi istnemi pączkami najpiękniejszych nadziei i złudzeń. Przeszłość przykra znikła im z oczów i z myśli, a przyszłość nęciła ich całym wdziękiem młodej wyobraźni. Poufne jest szeptanie rozmowy zakochanej pary, to prawdziwie zaczarowany ogród Armidy, każde słowo, to kwiat nowy jeden cudniejszy od drugiego; każde spojrzenie, to nowa coraz żywsza, coraz cudniejsza barwa, a słowa i spojrzenia wszystkie razem tworzą harmonją tak cudowną, jak pierwsze pienia słowicze, przemawiające zda się samym wiosny głosem.

*

Takie było życie kochanków w Powiatówce. Pewni już byli przyszłego szczęścia swego, bo pewni że się połączą na wieki. Widok kochanków rozweselał i rozczulał starą ciotkę, która codzień więcej godziła się z tą myślą że jej siostrzenica będzie żoną pana Jana. Były zapewne chwile, w której zawadzało jej to fatalne Drzwiowskiego nazwisko. Lecz jak do wszystkiego, tak i do tego przyzwyczaiła się pomału, i nareszcie oswoiła się z tem nazwiskiem, wmawiając sama w siebie, że Drzwiowscy musieli być szlachcicami, skoro tak znaczny jak to słyszała od Jana i Maxia, mają majątek. Tę ostatnią wątpliwość mógł Jan jednem zniszczyć słowem, ale nie uczynił tego, czy że się sam wstydził sposobu jakiego użył do nabycia szlachectwa, w które rzeczywiście nie wierzył, czy że rad był przyzwolenie panny Weroniki uzyskać przez siebie samego, zawdzięczać je swej własnej osobistej wartości, nie kawałkowi kupionego pergaminu, którym sam pogardzał idąc za własnem, szlachetniejszem uczuciem, i za popędem nowych pojęć, jakie się wówczas z zachodu przychodząc rozprzestrzeniały, i jakich sam był gorącym zwolennikiem.

Tak rzeczy stały, gdy nadeszła wiadomość o śmierci pani Józefy Wolskiej. Śmierć ta nie wielkie zrobiła wrażenie w Powiatówce, prócz w sercu poczciwem Anusi, która w tej chwili zapomniała o wszystkiem co z powodu matki wycierpiała, a pamiętała tylko o tem, że zmarła jej rodzicielka. Łzy Anusi były szczere, choć może nie tak długo trwały, jak by to przy innych nastąpić mogło stosunkach. Podług owoczesnych wyobrażeń żałoba każda, a tem więcej po matce surowo dotrzymowaną bywała; dzień zatem wesela odłożono aż narok przyszły. Aby wszelkiej dogodzić przyzwoitości, mimo bólu serca rozdzielili się kochankowie; pan Jan wyjechał na kilka miesięcy. Odwiedził najprzód przyszłego teścia swego, i jak łatwo się domyślić, uzyskał najzupełniejsze z jego strony przyzwolenie. Jeździł potem i do własnego ojca, który codzień się starzejąc, codzień więcej przywiązywał się do syna i dawnych skąpstwa i chciwości, względem niego przynajmniej wyrzekając się narowów, obdarzył go nowem, znacznem wyposażeniem. Resztę czasu zajęły mu zabiegi około Maxia, które go udało mu się wkręcić do znakomitego domu jednego za sekretarza. Rozumie się samo przez się, że panna Weronika z niemałą radością odebrała swój kapitał, ulokowany u księcia Radziwiłła, przysłany jej z Litwy, na ręce pana Drzwiowskiego. Jakoż tego samego dnia jeszcze idąc za popędem chwilowej uciechy napisała testament, którym wedle dawnego planu swego, Powiatówkę wraz z Złotkowską zapisała Anusi, a trzydzieści tysięcy złotych Maxiowi.

(D. n.)

Do J. C. Z.

Wieszczu serca, zwątpień dziecię!
Kwiat po kwiatku rzucasz nam,
I wyszydzasz nędzne życie,
Chcesz za wszystkich cierpieć sam?

Miłość, przyjaźń są to kwiatki,
Co ci zwiędły w nieszczęść doli,
Tylko wierzysz w serce matki, *)
Tylko spiewasz to co boli!

A dziś z czuciem niezapartem,
Jakby gdzieś z wiosennych latek,
Na pół ze łzą, na pół żartem,
Rzuciłeś nam — żółty kwiatek.

I zawładnąć pragniesz światem,
O królewskiej śnisz komnacie,
By świat żółtym zasiać kwiatem,
Byś królował — w żółtej szacie!....

Cóż ci barwy niebios ciemi?
Czy zciemniała twa źrenica?
Żółty kwiatek — to kwiat ziemi,
Żółty kwiatek — to gorczyca!

Wszak tyś orzeł — dziecię skały!
Chcesz dziś śnić jak słabe duchy?....
Ciebie burze kołysały,
Cierń i głogi twe pieluchy!

Dziś ze skał gdzie twoi wierni,
Między żółte lecisz kwiatki...
I chcesz tronu — zamiast cierni,
Chcesz kochanki — zamiast matki?

Zważ, że piękne dziś imiona,
Uwielbiane od wszech świata,
Uwieńcza z cierni korona
I odziewa b i a ł a szata.

A więc wyżej wzleć — do cierni!
Do wyższej duchów krainy,
A na grób twój rzucą wierni
Nie kwiat żółty, lecz — wawrzyny!

M . . . a

---

*) Trzy kwiatki przez J. C. Z.

POPAS W CHĘCINACH.

wyjątek z pamiętników niedrukowanych.

(Ciąg dalszy).

Tak tedy zajechawszy na popas w Chęcinach do domu starozakonnego Silberberga, wszedłem do obszernego na dole pokoju.

W pośrodku stał bilard, a kilka kijów bilardowych którym w większej połowie, połowy prawie do całości brakowało, kilka stołków, szafa ogromnego rozmiaru i tablica czarna, przy drzwiach na ścianie wisząca, stanowiły resztę sprzętów tego gościnnego pokoju.

W jednem z dwóch okien, wychodzących na rynek chęciński, siedział za małym stolikiem nad rozłożoną książką sam gospodarz i właściciel domu.

— A czy można dostać herbaty? zapytałem witającego mnie gospodarza.

— Czemu nie?

— Więc proszę, tylko żeby była dobra i czysto zrobiona, ostatnie zastrzeżenie jest zwyczajnem, chociaż mało skutecznem w domach zajezdnych żydowskich.

— Niech pan będzie spokojny, ja sam pijam herbatę, samowar jest w domu, i wiem jak powinna być przyrządzona.

W tej chwili wyszedł gospodarz stosowne wydać rozkazy, a ja ciekawością zdjęty, zbliżyłem się do rozłożonej książki, nad którą siedzącego gospodarza zastałem.

Były to pamiętniki Niemcewicza, starannie zachowane i ozdobnie oprawne.

Już też wszyscy przyznać muszą, że żyd, a do tego mówiąc bez ogródki, szynkarz chęciński, złapany na gorącym uczynku bo nad pamiętnikami Niemcewicza, może swoją osobą zaintrygować.

Dla tego też jak sam zapragnąłem bliżej go poznać, tak i was z nim bliżej zaznajomić muszę.

Ów tedy gospodarz nazywał się jak wam już wiadomo Silberberg.

Wysokim, pełnym powagi wzrostem, miłym rysami i czerstwością wyrazem twarzy, długą srebrzystego włosa brodą, wejrzeniem niewygasłego wiekiem oka, starannym i czystym ubiorem, w niczem od właściwego żydom polskim nieodmiennym, i nadzwyczajną czystością mowy polskiej, nie tylko że się od współznawców swoich odróżniał, ale nawet ten pewien rodzaj poszanowania dla siebie obudzał, jakie w pierwszej chwili poznania ludzie przyzwoitej i poważnej powierzchowności względnie siebie nakazują.

— Za krótką chwilę będzie herbata, rzekł powracający gospodarz.

— Bardzo dziękuję, odrzekłem, a zdjęty ciekawością jaką spotkanie pamiętników Niemcewicza w ręku żyda chęcińskiego obudziło, zapytałem:

— Zkąd masz to dzieło panie gospodarzu?...

— To moja własność. Dzieła nieboszczyka pana Niemcewicza są dla mnie skarbem nieoszacowanym, mam ich też wszystkie, i pomiędzy innemi mojemi książkami pierwsze miejsce trzymają.

— Jesteś widzę miłośnikiem naszej polskiej literatury?

— Jakże dziś nie lubić tego, co człowiek za młodu cenić i kochać się nauczył?

— Musiałeś więc panie gospodarzu, staranne odebrać wychowanie, na które widać rodzice twoi nieszczędzili wydatków.

— Moi rodzice?!... ach! mój Boże! oni w ten czas kiedy lat 14 miałem, z całem mojem rodzeństwem zginęli w czasie tej okrutnej i pamiętnej rzezi na Pradze, a osobliwym tylko przypadkiem i łaską Boga ja zostałem przy życiu. Ale o tem dużo by było do gadania.

Te słowa nową we mnie obudziły ciekawość.

— Niemożnaby więc szczegółów tych wypadków usłyszeć? Należę do ludzi którzy z wielkiem zajęciem podobnego rodzaju opowiadań słuchają.

— Czemu nie?!... Wspomnienia te o ile są dla mnie smutne, o tyle miłe są zarazem, bo się łączą ściśle z pamięcią najzacniejszego męża, nieboszczyka pana Niemcewicza. Wdzięczność swoją dla niego do grobu poniosę. Niech Bóg najwyższy przeznaczy mu niebo!...

— O! bez wątpienia, rzekłem, zasługi i cnoty tego czcigodnego męża dają mu niezaprzeczone prawo do wdzięczności całego narodu i do łaski najwyższego Boga.

— To co ja panu powiem, niema związku z temi wielkiemi poświęceniami, z któremi on zawsze dla ojczyzny z taką gotowością spieszył; będzie to tylko opowiedzenie wypadków i kolei losów, zapewne nie zwykłych, ale mnie samego dotyczących, a z których za pomocą zmarłego pana Niemcewicza, z sieroty i tułacza niemal po całym świecie, przyszedłem do tego stanu w jakim Bogu i jemu dzięki, dziś się znajduję.

— O! proszę cię panie gospodarzu, opowiedz m to wszystko, przyznaję bowiem, że coraz większą we mnie obudzasz ciekawość.

— Herbata już zapewne gotowa, a kiedy pana moje opowiadanie interesować może, to proszę do mojego pomieszkania na górę, tam herbatę przyniosą, tam panu pokażę moją bibliotekę, i w krótkości historją mojego życia opowiem.

— Z największą chęcią, bardzo o to proszę.

Udaliśmy się więc obadwa na górę, gdzie uprzejmy gospodarz wprowadził mnie do dwóch niewielkich pokoików, które pomimo dość licznej rodziny, wyłącznie sam jeden zajmował.

Pierwszy stanowił rodzaj przedpokoju. Zastawiony był kuframi i wielkiemi szafami.

Drugi, był sypialnią gospodarza. Odznaczał się niezwykłą czystością i malowanemi ścianami. W pokoiku tym

zawieszony był u sufitu mosiężny błyszczący świecznik, widać po każdej sobotniej usłudze starannie czyszczony. Było w nim łóżko, porządnie i czysto nakryte. Była uiewielka z kilkoma stołkami kanapka, przed nią o jednej nodze okrągły stolik, była także komódka, na niej filiżanki, kubki i solniczki, w pośrodku których piętrzył się okazale stojący zegar na czterech hebanowych kolumnach z alabastrowemi nadgłówkami, a pomiędzy niemi pędził niezmordowanie tam i na powrót kozak z dzidą na koniu, przyczepiony do perpendykułu.

C. d. n.

Sceny z najnowszych podróży.

Valparaiso.

(Dokończenie).

Zajęcia ministra spraw zagranicznych jednakowe jak wszędzie, są bardzo małe. Zewnętrzna polityka rzeczypospolitej chylijskiej jest w rzeczy samej żadna prawie; rozciąga się tylko do stosunków handlowych zagranicą. Jedynymi też jej ajentami dyplomatycznymi są trzej ministrowie pełnomocni w Paryżu, Rzymie i nowym Jorku, inni ajenci są prostymi konzulami. Takich konzulów ma ma ona w Bordeaux, w Hawrze, w Londynie, w Liwerpolu, w Kadyxie, w Genui, w Rio-Janejro, Buenuos-Ayres, Limie, Marattan i Honolulu.

— A do wychowania publicznego rzecz pospolita chylijska posiada jeden uniwersytet w Santjago; pięć lyceów, więcej jak sto szkółek początkowych, handlowy zakład w Valparaiso, kolegium ojców francuskich z kongregacyi przenajświętszej panny, i kolegium angielskie.

Religja stanu jest religja katolicka; konstytucja żadnej innej nie uznaje. W całej rzeczypospolitej jest jedno arcybiskupstwo, trzy biskupstwa, sto dwadzieścia trzy parafii, około pięciudziesiąt klasztorów męzkich i żeńskich, i liczba nieograniczona kapliczek. Jest jeszcze dom jeden propagandy, przeznaczony na missje katolickie pomiędzy Indianami.

O wojsku i marynarce już mówiłem; a co do finansów powiadają że stoją bardzo dobrze.

Chylijczycy zostali prawdziwemi hiszpanami, co się tyczy gościnności. W tej mierze trudno dać dość wierne wyobrażenie tej szczerości i serdeczności, z jaką przyjmują gości u siebie, czy są bogaci czy ubodzy, czy mieszkają w pysznej wili, czy w nędznej chacie: czy mu podają soczystą *Olla podrida*, czy suchy kawałek *Tassa*. Będąc raz u nich, już się nie jest u nich, ale u siebie. Pani domu piękna Sennorita, podaje gościowi przedewszystkiem trunek dzisiaj narodowy, który zowie się *Matteo*. Jest to rodzaj herbaty i tak jak herbata nalewa się wodą w naczyniu kryształowem, liść do tego używany jest żółty i nazywa się *gerba*.. Gdy się zaleje naczynie, to kryształowe kładzie się w rodzaj wazy karbowanej, która idzie w koło z rąk do rąk. Każdy pociąga z niej za pomocą rurki z główką, na końcu dziurkowaną, która nazywa się *Bombillą*. Narodowce piją ten trunek gorący prawie, z niemałą rozpaczą cudzoziemców, który przez grzeczność muszą ich naśladować, i którzy nareszcie nie mogą się oprzeć ochocie wzięcia Bombilli do ust, wyszłej tylko co z ust ślicznej sennoryty.

W rodzinnych swych kółkach są Chylijczycy pełni względów wzajemnych; dzieci są dla rodziców z uszanowaniem, a rodzice dla dzieci z słodkiem pobłażaniem. Nawet u ludu rzadko usłyszeć można wyrażenie grubiańskie. Dobroć i grzeczność jest widocznie w chylijskiem usposobieniu.

Co do właściwego wychowania jest ono bardzo jeszcze zaniedbane, mianowicie u kobiet, które samej przyrodzie tylko zawdzięczają ten szczególny urok, tak doskonałe i szlachetne znalezienie się, jakim się odznaczają.

Kobiety w ogóle są piękne i kształtne i do miłostek dosyć skłonne.

— Patrz pan! mówił raz do mnie don Manuel, na którego balkonie siedzieliśmy oba pod wieczór; patrz na tę maleńką sennoritę w sukience białej i niewinnej, z jaką minką wstydliwą idzie do botanicznego ogrodu? Czy widzisz pan?

— Widzę!

— Jak pan myślisz? wiele lat mieć może?

— Z pietnaście?

— Za rok dopiero będzie je miała. Otóż z swemi czternastoma latami idzie ona na miłośną schadzkę. W ciemnym klombie zdybać się przypadkiem z młodym kadecikiem, który przypadkiem będzie zbierać kwiatki i przypadkiem będą zbierać oboje. To także naturalne! a przy zbieraniu muszą się dotknąć ręce, muszą zbliżyć usta! wszystko to przypadkiem. Jakże będą szczęśliwi ci młodzi ludzie przypadkiem zdybani.

— Przesadzasz zacny don Manuelu!

— Niech mnie Bóg broni od tego. Albo patrz na tę żaluzją, co się tak pomału otwiera, a tam na dole przechadza się najniewinniej młodzieniec jakiś. Założę się, że nim trzy minuty minie, pojawi się rączka biała i utoczona, i opuści chustkę wonną i haftowaną. Opuści przypadkiem. Wszak się i pan nie raz trafiło opuścić chustkę od nosa. Cóż w tem jest złego? Patrz pan! zgadłem! już chustka poleciała; młodzieniec przechodzący przypadkiem, podejmuje ją jak najnaturalniej, a że zna mieszkańców tego domu, grzeczność mu nakazuje, aby sam na górę zaniósł chustkę.

— Zgadłeś pan, niema co mówić! ale jakoś długo bawi młodzieniec na górze.

— Jużciż sama grzeczność nakazuje.

— Lecz oto wychodzi... ale to nie on! to ktoś drugi; mały i brzydki.

-- Jeżeli się nie mylę, to mąż!

— Jakto, mąż?

- - Mąż! najniezawodniej.

— I wychodzi wtenczas, gdy wchodzi kochanek żony.

— Ba! jużciż, pozwolisz że to najlepsza chwila. Ten mąż rozumie życie. Na cóż być egoistą? dla wszystkich dosyć jest miejsca pod słońcem.

— Pod słońcem może, ale gdzie idzie o miłość kobiety.

— W gruncie to na jedno wychodzi: serce i miłość kobiety są istnem płomiennem słońcem, które ma tysiące promieni, by tysiące ludzi uszczęśliwić.

— Wyznaj przynajmiej don Manuelu, że to dziwne jest.

— Dla pana zapewne, bo nowe. A cóżbyś pan powiedział, gdybym mu pokazał ojców naszych znakomitych, żyjących publicznie z kochankami swemi, którzy bez miłosierdzia na wieczne piekło potępiają każdego, co nie pości regularnie.

Rozmowa ta może dać lepsze wyobrażenie o stanie obyczajów w Valparaiso, niż sto najdłuższych rozpraw. Jakoż rzeczywiście panie chylijskie jak są piękne, przyjemne, tak równie i czułe w miłośnych sprawach.

Ciekawy dosyć jest sposób podróżowania, jakiego doświadczyłem, robiąc z don Manuelem wycieczkę do Santjago. Nająłem już naprzód miejsce w *Birlocho*, i zasiadłem na ciasnej i twardej ławeczce. *Birlocho* jest to rodzaj kariolki otwartej, źle i bardzo wysoko zawieszonej. Zaprzęgają do niej dwa konie, jeden przed drugim; na pierwszym siada sam *correo* [woźnica]. Konie po większej części są chude szkapy, ale z samego początku więcej od ich chudości niepokoić zaczyna sposób zaprzęgu. Wszystko jest powiązane niteczkami, tak że ledwie uwierzyć można, by było podobna takim zaprzęgiem dojechać do Santjago. Tym czasem correo z ogromnemi, długiemi ostrogami meklenburskiemi przy wielkich wełnianych butach, ubrany w swój *pancho*, mając kawecan zawieszony u boku, siada na konia, poprze ostrogami, i goni wiatrem, góra czy nie góra, przez doliny, pagórki i wąwozy. Za wózkiem przyczepione są konie do przeprzęgania, bo stacyi pocztowych lub innych nigdzie po drodze nie zdybiesz. Te konie naturalnie nie są tyle wart co świeże, ale przecież odbywają jako tako służbę swoją, i goni tym sposobem dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil. Próbowano zaprowadzić stacje po drodze, i rodzajem dyliżansu połączyć Valparaiso z Santjagiem. Ale usiłowania wszelkie były daremne. Konie zostawione na stacjach znikały cudownym jakimś sposobem; powozy ciągle się łamały, a i podróżników brakowało. Bo Chylijczyk ma coś w sobie awanturniczego, nie lubi regularności dyliżansowej. Dosyć że towarzystwa dyliżansowe bankrutowały zwykle po miesiącu próby, unosząc kasę na ostatnich koniach swoich, i koniec końców musiano powracać do *Birlochow*.

Rozmaitość.

* **Aptekarz w kłopocie.** Niedawno temu w jednem z małych miasteczek naszych zawiązało się kółko ludzi wesołych, lubiących sobie pożartować. Najmilszą dla nich było zabawą mistyfikować drugich, do czego nie żałowali ani konceptu, ani pieniędzy. Na ludziach którzy zdają się jakby stworzeni, by byli zawsze mistyfikowanemi, niezbywa nigdzie, a tem więcej w małem miasteczku. Tak też było i w miasteczku X. Nieszczęśliwą tą ofiarą był aptekarz, człowiek najlepszy w świecie, ale nadzwyczaj poważny, pompatyczny i zarozumiały niepospolicie na punkcie swoich wielkich znajomości aptekarskich i nader pożytecznego stanowiska jakie zajmuje w społeczeństwie. Ztąd pełen był śmiesznej dumy, i komicznej nieraz próżności, którą wyzywał niejako każdego by sobie z niego zadrwił. Owoż jednego pięknego poranku przychodzi do niego urzędowa depesza, ze wszystkiemi pieczęciami, numerami i formami, w jak największym formacie. Było to ministerjalne wezwanie mianujące, w najpochlebniejszych wyrazach pana aptekarza z miasteczka X. członkiem nadzwyczajnej komisyi w stolicy, złożonej z najzdolniejszych w kraju lekarzów i aptekarzów, celem rozpoznania homeopatyi i zadecydowania, czyli ten nowy sposób leczenia może być dozwolony. W końcu tego wezwania było zaproszenie, aby się udał niezwłocznie do stolicy i przedstawił się panu Z. jednemu z słynniejszych lekarzy, który ma być prezesem owej komisyi. Wielka była radość pana aptekarza, radość podwójna, bo było w niej i zadowolenie dumy własnej i zadosyć uczynienie aptekarskiej nienawiści naprzeciw homeopatyi, tak groźnej aptekom. Już mu się roił medal zasługi na piersiach i luba zemsta nad okolicznemi homeopatykami, którzy mu nieraz gorącego sadła zalali za skórę. Nuż więc biegać z domu do domu z ogromną depeszą w ręku; wszem w obec i każdemu z osobna pokazywał pismo ministerjalne i naprzód już rozpowiadał, ile to on pięknych a wymownych prawić będzie rzeczy, któremi na wieki wieków zabije, zgniecie i podepcze tę głupią homeopatją. Wszyscy przyjęli tę wiadomość z serdecznem współczuciem, ciesząc się zaszczytem jaki zdybał człowieka tak godnego, którego teraz dopiero rozum i zasługi wyjadą na wierzch w należytem świetle. Aptekarz potakiwał wszystkim nadęty aż do pęknięcia. Każdy się łatwo domyśli, że to była mistyfikacja bardzo zgrabnie ułożona. Lecz nie dosyć na tem. Zanim pan X. wyjechał, mistyfikatorowie wysłali do stołecznej policyi uwiadomienie od familii i przyjaciół pochodzące że aptekarz X., człowiek bardzo zacny, umknął nagle z domu swego, gdzie był trzymany pod rodzinnym dozorem z powodu bzika jaki ma w głowie, i to na punkcie homeopatj która mu całkiem głowę zamąciła Kończyli zaś prośbą, aby przyłożyć wszelkich starań do wyszukania pana X. który zapewne udał się do stolicy, w chęci utworzenia między tamtejszemi lekarzami krzyżowej wojny naprzeciw homeopatyi, i aby go przez wzgląd na spokojną zupełnie warjacją, odstawiono tylko nazad pod dozór rodzinny. Pan X. po swojem do Lwowa przybyciu udał się zaraz do lekarza Z.... Uroczyście, w fraku czarnym, z miną ministerjalną przedstawił mu się, wyrażając dobornemi słowy zadowolenie swoje, że będzie miał zaszczyt pod tak światłem przewodnictwem wystąpić naprzeciw wspólnego wroga. Pan Z. przyjął go najuprzejmiej, prosił siadać i szepnąwszy żonie słów kilka, rozmawiał z nim najswobodniej na pozór, chociaż ciągle spoglądał z pod

oka na pana X. o którego możliwem pojawieniu się policja wszystkich niemal znakomitszych lekarzy uprzedziła. Po kilku chwilach weszło dwóch ajentów policyjnych. »To są assesorowie nadzwyczajnej komissyi! przemówił lekarz nie bez szyderstwa. »Prosimy pana z sobą!» dodali ajenci. Jakto ?.. gdzie ?... wyjąknął pan X., któremu się postawa i słowa tych panów niepodobała... «Gdzie, do domu nazad! zkąd pan niepotrzebnie wyjeżdżałeś.» «Ale mój obowiązek jako członka Komissyi nadzwyczajnej, prawdziwie niemogę.» «Mamy i na to sposoby!... czy pójdziesz pan dobrowolnie? zapytali go kategorycznie. Aptekarz zdumiony i zgniewany zaczął dość silnie replikować, chąc się koniecznie przy zaszczytnej funkcyi utrzymać Skończyło się na tem, że jak niepysznego wsadzili aptekarza do powozu, i z powodu symptomatów gwałtowności, konstatowanych przez samego lekarza, odwieziono do czubków. Kilka dni trwało, za nim się cała rzecz o tyle przynajmiej wyjaśniła, że zrozumiano mistyfikacją jakąś. Wolno puszczony, wrócił cichutko do domu, i tyle miał przecie rozumu, że gniew zdusił w sobie, i pytających o nadzwyczajną komissją zbywał krótkiemi i obojętnemi odpowiedziami.

* Zgromadzenie ogólne towarzystwa muzycznego przepisane §. 15 ustaw, odbędzie się dnia 4go listopada 1855. o godzinie 12tej w sali radnej magistratu lwowskiego. Karty zapraszające członków wszystkich wspierających i czynnych już porozsełano.

* Pani Aszpergerowa powróciła do Lwowa z podróży do Paryża i za kilka dni wyjeżdza na role gościnne do Krakowa.

* Adwokaci lwowscy zebrawszy się w sobotę na naradę, zobowiązali się niepodpisywać żadnych podań pokątnym pisarzom i wybrali komitet, mający nad tem czuwać i wzywać pomocy policyi skoroby zajmował się kto pokątnie prowadzeniem processów. Dwudziestu ośmiu adwokatów brało w tej naradzie udział, a sześciu z tych wyłączyło się od obowiązku donoszenia o pokątnych pisarzach wybranemu komitetowi. Do komitetu tego wybrani zostali: Dr. Tarnawiecki, Dr. Mahl i Dr. Hofmann. Wyłączyli się od obowiązku donoszenia: Dr. Kolischer, Zminkowski, Smolka, Rajski, Kabath, i Śmiałowski.

Przyjechali od dnia 27. do 28. Października do Lwowa.

Hr. Borkowski Dunin Bolesław z Kormanic. Hr. Drohojewski Józef, z Balic. PP. Obniski Wiktor, z Mycowa. Kieszkowski Józef z Błozwy. Prawecki Michał, z Raju. Dobrowólski Izydor, z Bozesti. Drohojewski Eustachy, z Łukawca. Czerwiński Jan z Remizowiec. Wysłobocki Hieronim, z Rzeszowa. Torosiewicz Emil, z Krakowa. Leszczyński Jan. z Łuczan. Bocheński Aloizy, z Otyniowiec. Polanowski Alex., z Moszkowa. Krajewski Nikazy, z Turzego. Dąbczański Ant., z Janczyna. Schubert Ant., z Złoczowa. Malinowski Józef, z Złoczowa.

JEx. Thun, ze Stryja. Hr. Coudenhoven, ze Stryja. Hr. Siemiński Konst, ze Żółkwi. PP, Tretter Hilary, z Krakowa. Morawski Konst. z Podhorzec. Obertyński Wacław, z Uhnowa. Tyszkowski Ludwik z Seredyniec. Baczyński Klemens. z Krakowa. Rogójski Karol. z Krakowa. Ostermann Jan, z Preszburga Stęchlińsk i Leon z Wyźlan.

Wyjechali od dnia 27. do 28. Października ze Lwowa.

Br. Brunicki do Gajów. P. Lewicki Leopold, do Tarnopola. PP. Kronhelm, do Krakowa. Gradowicz Rudolf, do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 26. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{1}{2}$	Pożyczka 5%	$75\frac{3}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{3}{8}$	Akcye banku	1015
Londyn za 1 funt szterl.,	11 4	Kolej północna	$2057\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$68\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$98\frac{3}{8}$
Agio duk. ces.	$18\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$78\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

	Gotówka			towarem		
Dukat holenderski	złr. 5	kr.	14	złr. 5	kr	18
Dukat cesarski	« 5	»	18	» 5	»	21
Półimperyał zł. rosyjski	« 9	«	—	» 9	»	5
Rubel srebrny rosyjski	» 1	«	44	» 1	»	45
Talar pruski	» 1	«	40	» 1	«	41
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	«	15	» 1	»	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 89	«	45	90	»	15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	66	»	45	» 67	«	15
5 proc. pożyczka narodowa	78	»	15	» 79	»	15

Z powodu święta numer czwartkowy rozdawany będzie we środę o godzinie 6. wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**